



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

### Henryka Beecher-Stowe.

Sędziwa już bardzo, lecz zasłużona tak, że zasługi jej nie przeżyły się dotąd nietylko dla jej ojczyzny, lecz wśród ludzkości wogóle, Henryka Beecher-Stowe, znana pod popularną nazwą autorki *Chaty wuja Tomasa*, umarła w Ameryce na Long-Island, w posiadłości rodzinnej North-Harbor, a śmierć ta przypomniała ją nanowo światu, i wraz z nakazem czci dla jej pamięci, wywołała wspomnienie jej szlachetnej działalności w wielkim dziele umoralnienia jej ojczyzny—w dziele zniesienia niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Urodzona w 1814 roku w Bostonie, córka prezbiteryańskiego pastora Symeona Beecher, wychowana była w zasadach religijności i moralności surowej, przytem kształcona naukowo z myślą, aby kiedyś oddała się zawodowi nauczycielskiemu, który spełniała już jej siostra starsza, Estera-Katarzyna, najpierw ucząca w miejskich szkołach dziewcząt, a potem stająca na czele szkoły dla nauczycielek.

Młodziutko, bo w piętnastym roku życia zaczęła już i ona pracować na tem polu pod kierunkiem owej siostry, od której może przyszło jej i natchnienie do pisania, przecież w kierunkach umysłu zachodzić musiały różnice, bo gdy tamta pisała przeważnie



Henryka Beecher-Stowe.

o wychowaniu i moralności, jej pióro zwróciło się do fikcji literackich. Pisywała do czasopism bostońskich obrazki powieściowe, zawsze przecież z silnym podkładem idei moralnej: z tendencją, która nie dała się nigdy tak unieść wyobraźni, aby zapomniana i na plan drugi zepchnięta została. Czy to zaszkodziło jej jako literatce? nie wiem, i to tylko zaznaczyć tu trzeba, że gdy bardzo wiele z wielkim talentem pisanych utworów powieściowych z owego czasu już tonie w zapomnieniu, jej powieść najbardziej tendencyjna stała się w ojczystej jej literaturze pomnikową i na wszystkie języki narodów cywilizowanych przełożona, a ona zyskała sobie przez nią sławę i uznanie świata całego. Gdzie tendencyja jest wysoką i szlachetną; gdy dotyka wielkich spraw, gra siłą wielkich uczuć, tam nigdy nie przeszkodzi autorowi, aby dzieło jego stało się według praw estetyki pięknem i weszło w literaturę, jako takie.

Tak się stało z pisarką amerykańską. Gdy wyszedłszy za mąż w 1836 r., za Kalwina Stowe doktora prawa kanonicznego i teologii, znakomitego profesora i pisarza w tym kierunku, wykładającego biblię w uniwersytetach duchownych, osiadła z mężem w mieście Dartmouth w stanie Massachusetts i zetknęła się ze smutną, ludzką plamiącą kwestyą niewolnictwa murzynów, serce jej zadrżało nad tem bezprawiem, nad tą boleścią i nędzą z drugiej strony i oto stanęła w szeregu walczących przeciw temu—z piórem w rękę.

Istniało już wtedy w Ameryce silne stronnictwo tak zwanych abolicjonistów, to jest ludzi, pragnących wyprzeć z życia i prawodawstwa Stanów Zjednoczonych niewolę murzynów i handel tym nieszczęśliwym towarem ludzkim. Kobieta szlachetna równie jak jej mąż, złączyła się z tem stronnictwem, którego członkowie usiłowali z jednej strony działać przeciw niewolnictwu w parlamencie i opinii publicznej, z drugiej ułatwiać ucieczkę murzynów do Kanady, gdzie według praw panujących, każdy człowiek, który stanął na gruncie tej prowincji, już przez to stawał się człowiekiem wolnym. Istniały tajemne trakty dla tego celu podróży i stacye w domach ludzi uczciwych, dające nieszczęśliwym zbiegom schronienie chwilowe—istniała łańcuch utworzony z gorliwych serc i rąk, które przyjmowały i wiodły dalej uciekających nocami, przeprowadzały kryjących się po bagnach i puszczech leśnych. I w służbie tej sprawy uczciwej Mrs Beecher odbywała wraz z mężem podróże dalekie; oglądała na Południu plantacyeryżni trzciny cukrowej, uprawiane bezpłatnym trudem, podlewane gorącym potem niewolników, widziała obławy urządzone na uciekających, tropienie ich, polowanie na nich z krwiożerczymi psami, a dalej rynki, na których sprzedawani byli jak bydła—rozdzielani rodzice z dziećmi, mężowie z żonami. Widziała i nie mogła pozostać obojętną, choć nie było to rzeczą bezpieczną występować przeciw tej ludności południowej namiętnej i srogiej już z natury rzeczy, w złem zawtarzającej, a teraz rozszoszonej walką, w której przegrana była poniekąd zubożeniem, bo usunięciem wśród krainy mało ludnej robotnika bezpłatnego i posłusznego, poddanego panom swoim, jak bydła juczne.

Południowcy, a więcej jeszcze handlarze niewolników, napadali nieraz domy abolicjonistów, palili je, rabowali, mordowali przez zemstę i dla odstraszenia od udziału w tej sprawie, wywierali swój wpływ na ich losy i mienie, co przecież nie odstraszyło od *dobrej sprawy* tę kobietę wielkiego serca, szlachetnego ducha. Mąż jej w skutek prześladowania za zasady utracił miejsce zajmowane w Dartmouth, trzeba mu było szukać chleba i nowego miejsca na siedlisko rodziny, liczącej już teraz kilkoro dzieci—ona jednak nie zeszła, nie ulękła się biedy, nie stała mu się w drodze do świętego celu kamieniem u szyi, łańcuchem u nogi. Nie! ona mu była pomocą i pokrzepieniem na siłach—była mu poświęconą współpracownicą!..

A dodać jeszcze trzeba, że była już teraz matką kilkorga dzieci, a jak stwierdzają wszystkie biografie pisane w jej rodzinnym kraju, wśród ludzi znających stosunki jej życia, najlepszą, najtkliwszą matką. Ale istota jej duchowa była wyższą nad to uczucie poniżające niejednokrotnie macierzyństwo—uczucie, które każe matkom fizyczny dobrobyt rodziny stawiać wyżej nad szlachetną przez przykład rodzicielski edukacją serc i umysłów dzieci. Nie ulękła się dla tych dzieci swoich mierności i braków—biedy może. Mocna i szlachetna jej dusza zniosła spokojnie zmianę położenia, ognisko rodzinne przeniesiono do Maine i ona tu właśnie ujęła pióro, które się stało taką dźwignią dla sprawy, w której obronie stawiała, że od tej pory stała się na świat głośną autorką i wielką wśród narodu swego kobietą.

W piśmie, wychodzącym w Waszyngtonie: *National Era*, zaczęła wydawać szereg szkiców, malujących życie czarnych niewolników na *Południu*. Nic nie tworząc fikcyjnie, ale tylko wypadki, istniejące na gruncie prawdy, odziewając szatą fikcji literackiej, zaczęła budzić nie tylko zajęcie, ale wzrusza serca i sumienia, kołatając do nich w imię boskich i ludzkich nakazów moralności. Prawa krajowe były z niemi w sprzeczności, a ona—kobieta—nie ulękła się tego, jak nie ulękła się prześladowania i biedy, bo są śmiałości szlachetne, które niczego się nie boją. Szkice te, zebrane razem, zostały wydane w Bostonie r. 1852 i tworząc książkę pod tytułem: „Uncle Tom's cabin, or negro life in the slave states of America”—stały się naraz głośne—głośne tak, tak poczytne, jak chyba nigdy żadna książka z dziedziny belletrystyki, ani przedtem,

ani potem. Zaraz w pierwszym roku rozeszło jej się w samej Ameryce 30,000 egzemplarzy i według świadectw miejscowych, wywarła wrażenie takie, że zachwiała silniej systemat niewolnictwa, niż wszystkie namiętne rozprawy w Kongresie—niż wszystkie wiece ludowe, w których przychodziło do walk bratobójczych, do rozpraw krwawych.

Książka ta weszła do historii i została w niej świadectwem, jak wyraz uczucia silny i gorący, może mieć moc nad ludźmi, jak bronią tego uczucia można podważyć interes, zwalić przesąd. Tu wyraz ten był niezmiernie prosty, spokojny, nie posiłkujący się zgółą wrażeniami, mogącemi gwałtownie uderzać na wyobraźnię. Autorka widocznie nie chce tego, nie myśli o tem: uderza w struny uczucia i powołuje się na moralne obowiązki człowieka—wysoce religijna, stawia obok praw ludzkości, prawa przykazań religii. „A będziesz kochał bliźniego twój!”—to zasada jej: umiejętne ukazywanie robotnika na tle jego rodzinnych stosunków, ukazywanie w nim człowieka, musiało koniecznie dotknąć sumienia, przez nawyknięcie do pewnego trwałego stanu rzeczy, zobojętniało na ohydne rzeczy tej strony. Mickiewiczowski: „sięgnąć do wnętrza i zatargać....” zostało tu zastosowane w sposób przecież dziwnie spokojny, możnaby powiedzieć: łagodny. Krytyka literacka uważa to nawet za wadę, za niewyzyskanie przedmiotu, kto wie przecież, czy nie w tem leży niezmiernie powodzenie książki? Nie exaltowała, i dlatego może została wrażenie silniejsze, dłużej trwałe. Wielka plastyka w oadaniu życia ze strony jego realnej, dużo też znaczyła. Trzeba było wystawić wielką nieprawość, a wystawić ją tak aby massy odczuły to i zrozumiały, iż jest nieprawością, i dlatego autorka wzięła ją w codzienności jej powszedniej. Wielkie rzeczy dzieją się rzadko, a życie gniecie głównie w biegu dnia za dniem—autorka pomyślała szczęśliwie, aby na to, co powinno było paść, uderzyć z tej strony, zrozumiałej dla wszystkich. Są tu i rysy malownicze, są i charaktery idealnym pięknem opomocnione, ale scena ich działania jest prosta, spokojna, jak życie większości.

Książka została tłómaczona na wszystkie prawie języki europejskie a my posiadamy jej przekład: Franciszka Dydackiego w r. 1853 we Lwowie, i drugi dokonany (1855) staraniem „Gazety Codziennej,” który przeglądał do druku Kraśzewski.

(Dokończenie nastąpi).

## ZE SPUŚCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Posępna reflexya, kończąca czarowny, słoneczny, wirgiliuszowski prostoty obrazek, a zwłaszcza zawarta w dwóch ostatnich wierszach gryząca satyryczno-polityczna *pointe'a*, przyśmiewają w duszy naszej wywołany poprzednim opisem zbyt jasny nastrój i przygotowują tło, na którym zarysować się ma posępne widmo wyspy Guernezey, czasowego schroniska wygnanego wieszca. Tu znów pejzaż ponury, groźny, wielki. „Te skały śród oceanu mają wszystko: grozę i wdzięk; niebios, tonie otchłani, urwiska, o które roztrącają się fale, szumy głuche, które czasami wydają się hymnem błogosławieństw, cierpliwość do znoszenia niezmiernego ciężaru—i w tej dumnej pustyni, gdzie włada straszliwy porządek, człowiek czuje, że skrzydła mu rosną i dusza

w orla się zmienia.“<sup>1)</sup> Ale wspaniały krajobraz ten, imponujący samotnemu poecie, pospolicieje nagle, traci swą wielkość, z chwilą, gdy zaludniać go poczyna tłum wybladłych *teatotallers'ów* (spijający herbaty) o bezmyślnych twarzach, w zapiętych na wszystkie guziki kratkowanych garniturach. Jakby przez odbicie tych niesmacznych postaci, wszystko szarzeje, koloryt przybiera brudny jakiś odcień—i poeta, odwracając się niechętnie od wyblakłych tych barw, daje wodze wyobraźni, która na rumaku marzenia unosi go w czarowną, grecką epokę wiecznej, boskiej wiosny, gdy „Sylen, nalany winem, chrapał w swojej grocie, majowa jutrenka budziła tajemnicze drżenia we wszystkim, co żyło, w półmroku gajów nawoływały się flety magiczne, woda szmerła, powietrze grało, pawie w blaskach słonecznych otwierały swe stubarwne ogony, a w cieniach wieczorów, jak dziewięć światła na lazurze, dziewięć bogiń błękitnych unosiło się między ziemią i niebem, śpiewając czarownie...“<sup>2)</sup> Na deszczowem, szarem tle mglistego dnia północy, słoneczny krajobraz tej „Eklogi“ tem żywszemi gra barwami, a *stufaż* jej, jakby w przeciwstawieniu do konwencyonalnych, szablonowych postaci, zdaleka technących popolitością i niesmaczną trzeźwością, wre, tętni życiem, pięknem, ruchem, zapalem, namiętnością. Tak-to poeta, tworząc swe malowidła, umie, gdzie sama rzeczywistość nie zadawalnia go, uzupełniać ją potęgą swej wyobraźni.

Ale Hugo nie pozostaje nazawsze tylko malarzem natury. Orzeźwiony i wzmocniony na łonie jej duch wieszca odzyskuje dawną sprężystość i poczyna znowu myśleć, badać, szukać, odgadywać, pracować. Obcowanie z naturą, tą niewyczerpaną skarbnicą tajemnic i zagadek, rozbudza w nim nanowo pragnienie walki ze sfluxem niewiadomości, nasuwa mu pytań i wątpliwości tysiące, zapala w sercu jego niezem niezmożoną żądzę poznania zakrytego oblicza tej wielkiej Izdy. Przystają go już interessować zewnętrzne kształty i formy jedynie,—treść wewnętrzna, istota bytu stokroć ponętniejszą zdawać mu się poczyna; przesyliło go już czysto i wyłącznie artystyczne rozkoszowanie się niepoliczonym bogactwem zjawisk, światła, barw, tonów i woni: chce zgłębić i poznać to, co jest podstawą, pierwiastkiem, substratem wszystkich tych przemian, dotrzeć do jądra rzeczy i—raz nakoniec odsłonić oblicze rodzicielki lub wroga; krajobrazy zwolna usuwają się w głąb malowidła stają się tylko dekoracyami, na tle których rozwijają się i kształtują grające teraz główną rolę i koncentrujące na sobie całą uwagę autora i czytelnika reflexye i medytacye; artysta-obszerny przetwarza się w myśliciela, mistrz barw i światła—w poetę-filozofa.

Przemiana ta—rzecz prosta—następuje nie odrazu, lecz zwolna, stopniowo: myśl powoli wywalcza sobie przodujące stanowisko, usuwając część opisową, która dawniej sama była celem, na plan dalszy. Początkowo reflexya końcowa, jakkolwiek będąca już niezaprzeczeniem punktem ciężkości utworu, nie może jednak zupełnie zamieć i zasłonić krajobrazu, choćby z uwagi na uwzględnienie obszerny i drobiazgowo artystyczne jego traktowanie. Przykład takiego stosunku wzajemnego dwóch współzawodniczących pierwiastków mamy np. w drugim obrazku *pirenejskim*, w którym poeta daje nam dość szeroki i obiektywny opis ciemnej chmury, zapadłej między dwa stoki skaliste, lecz którego punktem najwyższym jest dopiero technące metafizyką pytanie, rzucone temu zasłaniającemu dookoła świat cały murowi mgły i oparów: „Granicy, na której dusza i ptak czują, że skrzydła im słabną, przepaści, nad którą myśliciel z trwogą się pochyla, otchłani mroku nieskończonego, oh, czyż byś to ty była?“<sup>3)</sup> Podobną, pomocniczą w gruncie rzeczy, lecz niezupełnie jeszcze drugoplanową, rolę gra część opisowa w wrywku p. t.: „Bluszcz.“<sup>4)</sup>

1) Ks. II 16 „Guernsey“ tom I-szy str. 115.

2) Ks. II, 8, „Ekloga“, tom I, str. 95.

3) Ks. II, 5, „Chmura“, tom I-szy, str. 89.

4) Ks. II, 11, I, str. tom 101.

gdzie szeroko i soczyscie malowany krajobraz, który mógłby istnieć samodzielnie, stanowi właściwie tło dla panteistycznej myśli o konieczności powrotu wszystkiego na łono nieśmiertelnej matki-przyrody; w skrzącym wszystkimi barwy bogatej palety W. Hugo fragmentcie: „Gdyśmy opuszczali Avranches,“<sup>1)</sup> oraz w najpiękniejszym tej księgi ustępie 9-tym, gdzie z niewymownie subtelnym artyzmem wycieniowany krajobraz wiąże się nierozzerwalnie w jedną przedziwną całość z głęboką, pełną cichej słodyczy i spokoju reflexją. Ten ostatni ustęp, jakkolwiek wiele już razy naprędcie tłómaczony przez różnych sprawozdawców, pozwalamy sobie jeszcze przytoczyć we własnym przekładzie, obchodząc się w nim z największym pietyzmem z precudnym tym klejnocikiem poezji:

Wieczór cichy, głęboki nad krajem zapada;  
Usiądźmy, córko. Światłość zórz zachodnich blada  
Barwi arkadę mostu mdłym odcieniem róży.

Młotom w kuźni dalekiej dzwoni wieczorny wtórzy.

Bóg na dzwoni, a człowiek na kowadła śpiży  
Wykuwają to samo, i gwiazda tam wyżej  
Rozbłyska razem z ogniem w chatynce nędzarza

Los nasz widzisz me dziecko, cały się wyraża  
W tych dwóch dźwiękach, dwóch głosach surowej

Oba wiodą człowieka przez tajemnic kręgi,  
Wskazują cel, ster w drodze, z której się nie

Dzwoni powiada: — modlitwa!... a kowadło: —  
[praca!]<sup>2)</sup>

Ale poeta nie pozostaje długo na tym najwyższym w danym razie szczyście poetyckim, jakim jest owo przesliczne, czarodziejskie powiązanie obrazu i reflexji, plastyki i głębokości, obserwacji zewnętrznej i wewnętrznej pracy ducha. Myśl, pracująca w nim niezmiernie, poczyna widzieć przed sobą jeden cel: zbadanie wewnętrznej ukrytej istoty bytu; odrywa go zatem od barwnych, plastycznych form i zjawisk zewnętrznych i pcha gwałtownie ku ciemnej otchłani, w której tylko odgadywać, przypuszczać i domyślać się można, bo pewności absolutnej tam nie masz. Obserwacja słabnie; z całą potęgą poczyna działać wyobraźnia. Poeta zaczyna patrzeć na zjawiska natury przez szkła pewnych, z góry powziętych, wyobrażeń, co, naturalnie, zmienia zupełnie koloryt, a często i formy, kształty i wymiary krajobrazów i postaci. Zamiast prawdziwych, malowniczych obrazów natury otrzymujemy teraz przeróżne wizje, hallucynacje, będące wytworem wyłącznie tylko podnieconej jakąś myślą wyobraźni poety, przeważnie jednobarwne, jednostajne, odpowiednio do charakteru myśli przewodniej i drgające zawsze pod koniec jakimś niewyraźnym, przecuciosem raczej aniżeli zupełnie świadomym pytaniem. Oto jak w jednym miejscu poeta spowiada się z widzeń swych Bogu: „Panie, jam w rozmyślaniach spędzał nocy chwile i siadałem w zadumach, jak starzec zgrzybiały, na pustyniowych gór szczytach, w samotnych ustroniach, kędy człęk nie zachodzi, gdzie Ty tylko jesteś; słuchałem dzikich krzyków złowrogich ptaszydeł, widziałem blade kwiaty drzące pośród darni, i drzewa wychodzące z obsłon chmur w łez perłach, i jutrzeńkę zsiadła gdzieś na widnokręgu; widywałem cwieczór lot czarnych widziadeł, co czolgają się, płyną cicho nad równiną; patrzałem z wysokości ponurych przylądków na ciemne drżenia morza pośród zmroków nocy; widziałem przez splot jodeł krąg straszny miesiąca i chwilami myślałem, świadek przerażony, że spotrzegam postawę, pełną trwogi, grozy, wszechstworzenia przed wielkim obliczem Wieczności.“<sup>3)</sup> Wszystko tu już niejasne, niepewne, tajemnicze; kontury stra-

cili swą wyrazistość, barwy swą żywość. Pół-zmrok jakiś otula wszystko, a za jego zasłoną przeczuwamy razem z poetą coś żyjącego, poruszającego się, wielkiego. Co? — poeta nie daje nam odpowiedzi stanowczej. Wyobraźnia jego chwiewie się, waha, drży i coraz inne kształty przed oczy mu stawia. Raz wydaje mu się, że „duch dobroczynny, rozumny, głęboki, napęlnia sobą pola, powietrze, wody szemrzące i że „stworzenie wie to, co tajemnicą jest dla człowieka.“<sup>4)</sup> Kiedy indziej, „w chwili, gdy grób woła sowę, spostrzega na horyzoncie dziwną sylwetkę olbrzymiej ręki o wygięciach węzłowych; wydaje się ramię to błogosławiącym, rozlewającym jakąś dziwną, straszną miłość w tym zmroku. Czyżby to był Aryman?“<sup>5)</sup> — pyta z drżeniem jakimś wewnętrznym. Znalazłszy się sam wśród puszczy bezładnej, miewa jakieś hallucynacje, z których spowiada się druhom: „Czy znalazłszy się sami wśród pustki, nie słyszeliście dziwnych wybuchów śmiechu za drzewami? Nie zdarzyło wam się wtedy uciekać, czując pot zimny na ciele? I czy, zatapiając nawpół oko myśli waszej w ten świat nieznan, z którego wychodzą owe wizje tajemnicze, nie rozmyślaliście o tem, jak pełnem jest stworzenie, w swych szczególnych i strasznych głębokościach, czarnego mrowia rzeczy niewidzialnych.“<sup>6)</sup> W szmerach, jakie budzi zmrok wieczorny, dosłuchuje się „tajemniczych drzeń tego, co czuwa, gdy wszystko śpi.“<sup>7)</sup> Cisza nocna jest dlań godziną, gdy „każde stworzenie odczuwa wyraźnie istnienie w olbrzymim przestworu mroków jakiejś wielkiej, tajemniczej istoty.“<sup>8)</sup> „Co się dzieje w waszych cieniach tak strasznego“ — pyta z niepokojem — „że człowiek, ten duch wygnany, lęka się waszego spokoju przerażającego, o mroki, nieskończoności?“<sup>9)</sup> „Niebiosal!“ — woła w innym miejscu — „jakieś mrowie czarne zapęlnia ciemność przestworzy, słyhać, jak świat niewidzialny porusza się i błądzi na wsze strony. Gdy człowiek śpi, wszystko ożywa pod osłoną mroku. Ciemność, pełna postaci grobowych, wzdycha; w głębi lasu błądzi daniel w marzeniu; jakiejś istocie nieznamnej, co z wiatrem przewiewa, barwinek cichutko szepece do ucha: „kocham cię!“ Dzwonek błękitny dzwoni nad głową złocienia, wołając nań: „czego śpisz, chłopie?“ Cała równina pogrążona jest — zdaje się — w jakiejś adoracji: drży, chwiewie się; wysmukła topola pochyla się ku wierzbie bezkształtnej; sitowie pieści grotę skalistą; wąż wyciąga konwulsyjnie ramiona ku drżącej osice; nymfee wnoszą nad czarną tonią swe białe sylwetki, chcą przypodobać się zamyślonym nenufarom; dokoła budzą się śród trzcini i sitowia, oglądają swe blade czoła w błękitnym wód zwierciadle, zginają łodyżki swe, otwierają oczy, pochylają w dół kielichy — róże wodne, te kokietki nocy; kwiaty boginie rozlewają światłość czarowną śród cieniów nocnych; wśród pól, zbóż, traw, zład szmery lekkie płyną, na falach jezior, w ruinach bezkształtnych — drży świat cały cudowny i złowrogi zarazem.“<sup>10)</sup> „O, naturo!“ — reasumuje swe myśli poeta — „ducho, cieniu, żywcie! o zakryta twarzy Izydyl! O, sfero zawsze ciemna i zawsze ugwiażdżona! O, tajemnicza księgo o kartkach śpizowych! Texcie, pisany na obłokach i na marmurach zarówno! Biblio, utworzona z fal bezdennych, z gór niebotycznych, z drzew gęstem listowiem szumiących, z nocy ciemnej i z błękitu jasnego!“<sup>11)</sup>

Zreasumujmy i my nasze poglądy. Do czego zatapianie się w wizjach tych doprowadziło poetę, jaka ogólna teoria filozoficzna jest podkładem tych fragmentarnych wylewów? Panteizm, z łatwością odpowie każdy. Tak, panteizm; ale to nie ten wielki wiew olbrzymiej liry, nie to upojenie wszechprzyrodą, nie ten szal kosmiczny

w „Panie“ z „Liści jesiennych,“ gdzie cała przyroda, ta klawiatura olbrzymia, drży i rozbrzmiewa pod ręką poety; to nie ta epopeja życia przyrody w „Satyrze“ z „Legendy Wieków,“ gdzie płyną rzeki światła, falują morza cieniów, krają słońce systemy; to nie ta niezmierna symbolika siły wewnętrznej, która utrzymuje świat i kosmos; to nie ten panteizm czysty, wielki, cały, potężny, bez przymieszek, jaki wybuchał lawą, wylewał się morzem ogromnem poezji we wspomnianych dwóch najdroższych moze klejnotach twórczości Wiktora Hugo: to panteizm pomieszany z deizmem, tracący plastykę swą pod wpływem mistycznych nieuchwytnych marzeń i rojeń, rozplywający się w oceanie ciemnych, zagadkowych gnostyko-manichejskich wizji. Zład krok już tylko dalej, a staniemy w księdze następnej, gdzie filozoficzna podzwania struna, na tamsamym zwrotnym punkcie, na którym znalazł się poeta w ostatnim dziale „Kontemplacji“ (Na wybrzeżu nieskończoności) i z którego, w zakończającym ten cykl poemacie: „Co mówią usta cieniów,“ runął w niezgłębiałą otchłań wiekistych mroków.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg.)

Bolesław spojrział nań uważnie. Wistocie był to Mścislaw.

— Ciebie każę powiesić! — odrzekł krótko.

— Nie wasz się! jutro sam głową nałożysz za śmierć moją!

Król nic nie odpowiedział Mścislawowi na jego pogrózkę, tylko ręką skinął na straż.

— Powiesić łotrów!

Straż odprowadziła natychmiast wszystkich na środek dziedzińca i czekano tylko na przyście Bolecha, rozmawiającego z królem, aby rozkaz wypelnić.

— Trzeba może was wypowiedać? — zartowano.

— Na co im spowiedź? Psów nie spowiadają...

Skazani milczeli; ani jednym słówkiem nie błagali za sobą. Przyszedł Bolech.

— Macie powrozy? — zapytał.

— Mamy... i tych przecie wystarczy, którymi ręce związane... Gdzie każesz ich powiesić?

— Na pierwszym dębie... byleby gałęzie miał mocne.

Po tych słowach nie już więcej do powiedzenia nie pozostawało. Gromada, złożona z kilku żołnierzy, kilku ciurów obozowych, wzięwszy pomiedzy siebie Mścislawa, Sławoszę i trzeciego ich towarzysza, wyruszyła za bramę.

— Gdzie was powiesić? Gdzie wam najmilej? — zapytał ktoś zartobliwie.

Trędowata twarz Sławoszy oblała się purpurą gniewu.

— Wieszaj gdzie chcesz, psie lacki! Ty dzisiaj nas powieszysz, a jutro powieszysz ciebie!

— Ho, ho, groźny jesteś, ale trochę zapóźno!

Szli drogą leśną, wiodącą na Wasylów, i rozglądali się po lesie. Natrafili polankę, na której rosochaty dąb rósł samotnie, liczne grube, osuszone gałęzie otaczały go dokoła.

— Tu dobrze... niedaleko drogi.

1) Ks. II, 21, tom I, str. 131.

2) Ks. II, 9, tom I, str. 97.

3) Ks. II, 7, tom I, str. 93.

4) Ks. II, 10, tom I, str. 99.

5) Ks. II, 19, tom I, str. 123.

6) Ks. II, 22, tom I, str. 135.

7) Ks. II, 24, „Wieczór,“ tom I, str. 141.

8) Ks. II, 25, „Noc,“ tom I, str. 144.

9) Ibidem, s. r. 147.

10) Ks. II, 29, „Venus,“ tom I, str. 155.

11) Ks. II, 12, tom I, str. 103.

— Będą was tu inni oglądać, to się im odechce rozbójniczego rzemiosła.

Cała gromadka zatrzymała się pod dębem.

— Trzeba ich niedaleko wieszać... bo to przyiaciele...

Dowódzca orszaku spojrzął na związanych zbójów.

— Jedna gałąź nie wytrzyma... — rzekł — patrzcie... to chłopcy! Ot ten — pokazał na nieznanego towarzysza — jakiego sobie brzucha wyhodował!

Ponieważ nie było innych powrozów oprócz tych, którymi skrępowani byli zbrojownicy, jeden więc z orszaku poszedł na skraj polanki, gdzie gęsto rosły osiki i, toporem, który miał za pasem, zrywał kilka cienkich i wiotkich i z niemi powrócił do gromadki stojącej pod dębem. Skręcono dobrze ręce wszystkich trzech skrępowano na tył, a natomiast zdjęto powrozy przeznaczone na inny użytek.

Rozpoczęło się wieszanie. Najprzód założono stryczek na szyję Sławoszy i powróż zarzucono przez gałąź, tak, że się na drugą stronę wiesił i rękami już ując go można było. Dwóch ludzi trzymało Sławoszę, stojącego pod gałęzią, który żadnym słowem, żadnym ruchem nie zdradził obawy przed śmiercią; stał wobec niej taksamo spokojny, milczący, chmurny, jakim był zawsze, kiedy spełniał wolę kniaziowską i wieszał lub mordował innych. Poczęto go ciągnąć na gałąź. Twarz jego w mgnieniu oka nabiegła krwią, oczy nieruchome, co chwila zamykały się i odkrywały gwałtownie poruszającą się powieką. Jak tylko podniesiono go od ziemi tak, że już jej kończynami nóg dostać nie mógł, ciurowie przytrzymujący go puścili. Inni dwaj ciągnęli powróż, a w miarę ciągnięcia na gałąź, za każdym podciągnięciem nogi Sławoszy robiły coraz gwałtowniejsze ruchy w powietrzu, jakby się starały znaleźć punkt oparcia lub uciec. Z gardła wydobywało się jakieś niewyraźne charczenie, jakgdyby mu przekleństwa zamierały na ustach i rozpyływały się z pianą, staczającą się kłębami. Twarz z ponsowej barwy przechodziła w brudno-fioletową, a oczy coraz więcej stawały się nieruchome i, w słupek zawrócone, białymi bielkami świeciły. Ruchy nóg, z początku gwałtowne, później już były spokojniejsze i tylko chwilami drgały wysuwając się naprzód, z ust wydobywała się pianą.

Jeden z ciurów wlaźł na dąb, przedostał się do gałęzi, na której wisiał Sławosza, rzucony sobie z dołu koniec powrozu uwiązał...

Tak zakończył życie Sławosza. Nosił wilk: ponieśli i wilka.

— No, kniaze Mściślawie, teraz na waszą miłość kolej... — żartowano — raczcie nam łaskawie pozwolić założyć stryczek na waszą białą kniaziowską szyję.

— Jutro na twoją go założą! — odgrażał się Mściślaw. — Izasławowi wiernych sług nie zbraknie.

Nie bardzo jednak zważano na strachy Mściśława; rozkaz był wyraźny: powiesić. Powieszono też z kolei i kniazia Mściśława, potem nieznanego towarzysza taksamo, jak Sławoszę.

Cały orszak zatrzymał się jeszcze czas jakiś, ażeby kto wisielców z gałęzi nie odciął, potem powrócił na Krasny Dwór.

Dobrynia owego wieczoru, kiedy dawał znać Sławoszy i Czudynowi, o tem, że Bolesław obóz opuścił i wraca, czekał długo w umówionem miejscu na powrót wysłańców kniaziowskich, czekał w umówionem uroczysku za obozem. Ale żaden z nich nie wracał. Nie wiedział co się stało, ale przeczuwał, że stać się musiało coś niedobrego. Już i północ minęła, już zorze gasnąc zaczęły, a posłańców nie było. Czekał noc całą, nie odchodził, bo umówili się ze sobą, że wiadomość o tem, co się stało kniaziewi do Kijowa przyniesie. Jakże miał wracać? Z czem? Z jaką wieścią? Musiał czekać.

Już i słońce podeszło do góry, a posłańcy nie przychodzili; począł się lękać, aby w zasadzkę nie wpaść, i sam wrócić postanowił. Nie poszedł ednak zwykłą drogą, bo wiedział, że się tam

snuje żołnierstwo polskie, poszedł lasem, ścieżkami, manowcami które sam znał. Do domu, do chaty nad Kłowem nie wstąpił w istocie, nie było poco do domu zachodzić, bo tam już wysłano orszak wojska z rozkazem schwytania go; czekanu tylko na jego przybycie. Stary lis zwęszył niebezpieczeństwo i, zamiast do domu, poszedł prosto do Kijowa, na Kniaży Dwór. Ścieżka prowadziła przez tę polankę, na której rankiem powieszono Mściśława i Sławoszę.

Podchodząc pod górę, widział na dębowych gałęziach kołyszące się trupy; nie dziwiło go to wcale. W owe czasy trupy i wisielców napotymano co chwila. Dobrynia pokiwał głową.

— Oho! — rzekł sam do siebie z akcentem, który miał znaczenie: — wiem co się stało.

Ale, że trupy z tyłu oglądał, nie poznał od razu współtowarzyszów zbrodni.

W miarę, jak podchodził do góry, jak się przysłuchiwał wisielcom, coś niby dostrzegł znajomego, ale nie był pewnym. Wyszedł z lasu na polankę, stanął bokiem nieco do pierwszego trupa i poznał Sławoszę.

— Daremnie na was czekałem — rzekł.

Spojrzął na drugiego wisielca — poznał Mściśława.

Strach go jakiś ogarnął; widział wyraźnie, że zamiary, jedne po drugim, nie udają się mu. Sam ledwie wyrwał się z rąk Bolesława: Ludy wydość z Krasnego Dworu nie zdołał. Wyszatycza cieszył tylko obiecankami, a teraz — ostatni zamiar, ostatnie nadzieje: zgładzenie króla lackiego ze świata i zaskarbienie sobie łaski kniaziowskiej nie udały mu się... Nie było czasu na długie rozmyślenia: należało iść dalej, prędzej, bo lada chwila mógł go ktoś dojrzeć, a wtenczas jużby z tej polanki nie wrócił do domu, a kości jego białe — by obok kości Mściśława i Sławoszy. Obejrzał się trwożliwie dokoła — i podążył dalej, do Kijowa! Wołałby był z inną wieścią przyjść na Dwór Kniaży!

Już dobrze było z południa, kiedy Dobrynia stanął na Kniażym Dworze. Grydnie śnać mieli rozkaz, bo wpuścili go bez oporu do Izasławowej grydnicy. Zaledwie ukazał się we drzwiach, a już kniaz przyjął spojrzenie ku niemu skierował.

— Gdzie Mściślaw? — zapytał.

Głos kniazia brzmiał ostro, surowo.

Jeszcze Dobrynia nie zdołał gęby otworzyć, kiedy z miny jego Izasław odgadnął niepowodzenie.

— Mów! Co się stało?

— Wszyscy dostali się do rąk króla.

Izasław po izbie przeszedł się w milczeniu, potem przy stole usiadł.

— Gdzie są? — zapytał.

— Już tu nie wrócą miłościwy kniaze — odrzekł Dobrynia. — Dostali się do rąk lackich, a król kazał ich powiesić!

Opowiedział całe zdarzenie, jak dawszy znak, czekał na nich w jarze noc całą, za obozem, jak poszedł nareszcie i natknął się na wiszące trupy Mściśława i Sławoszy.

Izasław wysłuchał milcząc opowiadania Dobryni, ale co chwila przyszywał starca badawczym spojrzeniem: nie wierzył. Wydało mu się, że w tem wszystkim są same nieprawdopodobieństwa; nie wierzył, ażeby tajemnica zdradzonej być mogła; nie wierzył, ażeby tak wypróbowany zabójca, jak Sławosza, mógł wpaść w ręce Bolesława. Przecież samą tę chwilę, w której zabójstwa miał dokonać, wybrał, czekał na nią, jak długo chciał, rozważał i śledził zdaleka każdy krok króla: czyż-to było możebnem, aby teraz wpadł w sieć, które na Bolesława zastawił? Wietrzył tu zdradę jakąś, bo o wypadku, jaki zaszedł w ogrodzie Krasnego Dworu, ani on, ani Dobrynia nie wiedzieli. Gniew nim mიაł i żal Mściśława.

Po długiej chwili milczenia zwrócił się znowu do Dobryni.

— Widziałeś trupy?

— Widziałem, miłościwy kniaze.

— Nie omyliłeś się?... Poznałeś ich?

— Poznałem...

— Poczem odwrócił się do okna, stał przy ramie okiennej i nieruchomie, w zamyśleniu pa-

trzył przed siebie. Dostrzegł kogoś na dziedzińcu.

— Zawołać tu służbę! — rzekł — i znowu milczał i patrzył.

Weszło kilka barczystych koniuchów. Izasław nie odwrócił się od okna, nie rzucił na nich jednego spojrzenia.

— Zabrać Dobrynię do porubu — rzekł różnym, spokojnym głosem.

Dobrynia zwrócił ku Izasławowi błagalne spojrzenie.

— Wola twoja, kniaze!

Ale Izasław ani słówka więcej nie powiedział. Stał zawsze taksamo nieruchomy i milczący, jak przedtem, i mętnym spojrzeniem patrzył przed siebie.

Koniuchy zabrali Dobrynię i wyszli. Prowadzili go przez długi dziedziniec Kniażego Dworu, a wślad za nim, szło spojrzenie Izasława. Już i furta za Dobrynią zamknęła się, a Izasław stał jeszcze, jakby go jakaś siła do okna przykuła. Stał nie daremnie, bo stał wobec niepewności, którą trzeba było rozwiązać. Wyteżał wszystkie siły, aby potajemnie walczyć z Bolesławem, którego sam na pomoc zawołał, bo widział, że po stronie jego stał naród cały, starszyzna: lękał się więc, że jedno skinienie króla, pozbawi go księstwa a może i życia. Dotychczas walczyć otwarcie nie śmiał i bał się. Dziś przekonywał się, że zamiary jego jeden po drugim nie udawały się, że Bolesław odgadł te zamiary, skupił wszystkie siły w obozie, czuwał; wiedział, że król, nie tylko sług jego, ale syna nie wahał się śmiercią ukarać... Już tajemnicy nie było żadnej: Mściśław i Sławosza wisieli na gałęzi.

Ważył tu wszystko w myśli Izasław.

— Dostyc uścisków! Dostyc kłamania w oczy! — mówił sam do siebie. Ja wiem, czego on chce; on wie, dokąd ja dążę... Przebrała się miarka! Żywa dusza lacka ztąd nie wyjdzie! Trupami ich i kośćmi posieje ziemię ruską. Nie potrzeba dwóch kniazów w Kijowie: — albo ja zostanę, albo on niech kniaży!

Nazajutrz zwołał wojewodów, bojarów i wybitniejszych ludzi z drużyny w celu uradzenia, co zrobić wypada, bo sojusznik jego i przyjaciel przeobraził się pomału we wroga, który potrafił sobie zjednać niezadowolonych i wyciągał już rękę po władzę książęcą. Zdawało się więc niestosownem czekać chwili, kiedy on na Kijów się rzuci, ale uprzedzić jego — otoczyć drużynę, do Dniepru go przyprzeć i albo wytopić wszystkich, albo w pień wyciąć.

Zwlekać nie należało dłużej, bo zimną walką byłaby trudniejszą, tembardziej, że o posiłki się upominał i co dnia niemal na nie czekał.

Postanowiono ściągnąć co prędzej rozproszoną w okolicach resztę drużyny i walkę rozpocząć.

Izasław do Czudyna się zwrócił.

— Pojedziesz, bojarynie, do Wyszatycza... on tu nam potrzebny do rady... i tych trochę pieszych i straży, która jest przy nim, niech tu przyprowadzi.

Czudyn uchylał głowę, słuchając rozkazu.

— Wiesz — ciągnął kniaz — Wyszatycz teraz jak opętany: więc się sam przypatrz wszystkiemu, abys mi sprawę zdał; dlatego cię właśnie posyłam.

Posłuszny rozkazowi, Czudyn tegosamego dnia jeszcze na Berestowo pojechał.

Ledwie na dziedziniec dworu tysiackiego wjechał, kiedy go jakaś cisza niezwykła uderzyła. Na dziedzińcu nie było nikogo i po dobrej chwili dopiero zjawił się zaspany czeladnic i konie od niego wziął.

— Tysiacki w domu? — spytał go Czudyn.

— Niema... wyszedł gdzieś.

— A kiedy wróci?

— Nie wiem.

Odpowiedź ta, z pewnym odcieniem tajemniczości, zastanowiła go. Wszedł na runduk, do sieni: pustki wszędzie. Zwykle wychodził go witać Wyszatycz, teraz nie zjawił się. Nareszcie grydnia dostrzegł.

— Gdzie Wyszatycz?

Grydeń podniósł ramiona, a wyrazem twarzy i całą postawą dał mu odpowiedź:

— Nie wiem.

— Wyjechał gdzie?  
— Gdzieś się podział... Trzeci dzień go już niema...

Czudyn nie mógł sobie wytłómaczyć zagadki.  
— Ach, prawda—rzekł grydeń, przypominając coś sobie,—kazał dziś odesłać do kniazia pisanie...

— Jakie?

— Nie wiem... na stole podobno leży.

Czudyn czytać nie umiał. Z pisaniem więc i niepewnością do grodu wrócił. Pisanie owo było niedługie; na kawałku pergaminu Wyszatycz te słowa tylko napisał:

— Przyszlij, kniaże, na moje miejsce tysiąckiego. Służby moje ofiarowałem już innemu.

Wiadomość ta była nową niespodzianką na Kniażym Dworze, niespodzianką nie do odgadnięcia. Co się z Wyszatyczem stało? Gdzie się podział? Czy go porwał i zamordował Bolesław, czy on sam dobrowolnie do króla przystał: wszystko to były rzeczy niewyjaśnione, a spowodowały nowe komplikacje, bo z terminem stanowczego wystąpienia przeciwko Bolesławowi powstrzymano się.

Taka niepewność ciągnęła się niedługo.

## X.

### Niejednakię losy.

Już była późna, ale pogodna i ciepła jesień, a Bolesław jeszcze w obozie trzymał wojsko. Niezadowolony rosło coraz bardziej, a jeżeli do buntu wyraźnego nie przyszło, to tylko dlatego, że Bolesław sam wojsku przyobieczał, że wkrótce mieć będzie wygodne zimowe leża. Dokąd miał je poprowadzić? Nikomu ani słówka nie mówił. Domagał się oddawna posiłków z Krakowa, lecz posiłki nie nadchodziły, ale nadchodziły niewesołe wieści: z jednej strony narzekano na nieobecność króla, na brak rządu i obrony wewnątrz kraju, z drugiej na próżniactwo i wesoly żywot króla na dalekiej Rusi. Burzyła się ambitna szlachta, którą sobie Bolesław lekceważył, sarkano duchowieństwo, gorszące się niemoralnym życiem króla zdala od ojczyzny i w tem życiu szukało zgorszenia publicznego.

Ani jednych, ani drugich Bolesław w plany swoje nie wtajemniczał: przeciwnie, zakrywał je przed nimi, bo się nie spodziewał z tej strony, ani rady, ani pomocy. To lekceważenie, jakie młody i wojowniczy król okazywał dla szlachty, śmiałość, z jaką gromiłich pyszałkowstwo, robiły mu nieprzyjaciół w radzie i w senacie. Z tej nieprzyjaźni mało sobie robił Bolesław i umiał ją zawsze poskromić.

Kiedy jawnym się stało, że Izasław dybie otwarcie prawie na życie króla, a nawet zamierza zbrojnie wystąpić, bo rat' począł gromadzić w Kijowie, droga, jaką miał wybrać Król Polski, była sama przez się wytknięta: czy przyjdą lub nie posiłki, postanowił jeszcze przed zimą rozprawić się z Izasławem, zająć Kijów, kazać się w Kijowie ukoronować, a potem, zostawiwszy zastępcę w stolicy Rusi, z własnym wojskiem i z Rusinami ruszyć do Krakowa i tam siłą położyć koniec niezadowoleniu i bucie szlacheckiej.

Plan to był śmiały, ale w duchu Bolesława i jak się zdawało, nie przedstawiający żadnej trudności, tembardziej, że król Ruś całą miał za sobą. Powziąwszy plan taki, trzymał cały obóz w pogotowiu i czekał tylko na posiłki i wieści z Krakowa. Dochodziły do niego wprawdzie nieraz echa, że posiłki wysłane, że na czele ich stoi młody, ale ambitny i dążący do władzy wojewoda Sieciech, który później za Władysława Hermana i władzy się dobił i pychę swoją nasycił. Inni znowu mówili, że wyprawiono tylko poselstwo. Trzeba było wśród tej niepewności jeszcze czas jakiś czekać, póki rzecz się nareszcie nie wyjaśni.

Późna jesień zaskoczyła króla wśród oczekiwania i wątpliwości rozmaitych. W takiej chwili rano zajął na dziedzińcu Krasnego Dworu jakiś rycerz z konnym orszakiem i zażądał wi-

dzenia się z królem. Wpuszczono go. Rycerz ów długą miał z królem naradę.

Kto to był?

Nikt go nie znał, a ani on sam ani pachołkowie z jego orszku imienia jego nie powiedzieli.

Kilka godzin siedział u króla, a koń nierozsiodłany czekał na niego przed gankiem. Wyszedł nareszcie, do nikogo głową nie skinął; pachołek konia mu podał, strzemię potrzymał, a rycerz, dosiadłszy konia, nazad go nawrócił i na czele niewielkiego orszaku wolnym krokiem ruszył.

Bolesław po tem widzeniu się i rozmowie z nieznanym rycerzem pozostał w komnacie, i, głowę oparłszy o rękę siedział, zamyślony i milczący.

W owym rycerzu, który tajemniczo zjawił się i odjechał z Krasnego Dworu, domyślano się posła, bo podsłuchano, że towarzysze jego i pachołkowie rozmawiali ze sobą popolsku, ale napewno nikt nie wiedział. Rozmowa jednak, którą ów rycerz miał z królem, ważną być musiała, skoro król tak po niej był zaszepiony i tak się zamyślał głęboko.

Już może godzina minęła po odejściu rycerza, a Bolesław zawsze siedział w jednakiem położeniu, a na całej jego twarzy malowała się boleść i smutek tak wielki, że oczy błyszczały, jakby miały łzami wytrysnąć.

Zbliżała się godzina, w której zwykle do obozu odjeżdżał, ale śnać król o niej zapomniał. Nie zapomniał Bolech.

Wszedł cicho do izby, w której król siedział. Bolesław na skrzypnięcie drzwi głowę podniósł, jakby go kto ze snu obudził.

— Ty, Bolechu?

— Ja... Do obozu pora jechać...

Spojrzenia ich spotkały się. W oczach Bolecha było zdziwienie z nagłej zmiany, jaką w królu spostrzegł, w zamyślonej twarzy króla i w jego oczach błyszczących, jakiś smutek głęboki siedział.

— Wiesz, doczekałem się posła...—rzekł w oczy Bolechowi patrząc.

— Więc to był poseł?

— Poseł... od Sieciecha i Biskupa...

Zapanowało milczenie. Królowi groźnie brwi się zsunęły.

— Nim wróci i ja tam będę, ale będę po to, ażeby z nimi porachunek uczynić, ażeby tych ślepych ukarać za to, że nie widzą przyszłości, od której odwracają swoje tłuste i opasłe brzuchy...

Bolesław drżał z gniewu i rozdrażnienia.

— A posiłki? — zapytał nieśmiało Bolech.

Twarz króla skrzywiła się do gorzkiego uśmiechu.

— Posiłki będę musiał zdobyć sobie szablą! Powiadają, że ja tam jestem potrzebny, w domu... oczywiście... oni potrzebują mieć króla pod bokiem, ażeby rozkazy ich wykonywał... Nie, ja chcę być królem dla Polski i o Polsce myśleć o jej wielkości, o jej przyszłości, o jej sławie, ale nie o wojewodach, dbających jeno o swe włości.

Po chwilce do Bolecha się zwrócił.

— Każ, ażeby wszystko było w pogotowiu... za godzinę pojedziemy do obozu...

Bolech wyszedł.

Król zamyślał się mocno.

— Mamy swoje sprawy — powiadają — a ty królu pilnujesz Rusi, aby ci nie uciekła... na twojej nieobecności sprawy Polski cierpią... cierpi twoja sława... twoje sumienie... ślepi, a chcą pokazywać drogę innym! Pragnę wszystkich na jednym pasku do nieba prowadzić... Jak im wytłómaczyć, że, siedząc na Rusi, spraw Polski pilnują? Stworzyłem tam przyjaciół, gdzie wrogowie byli... Pytają na co nam Ruś potrzebna? Czyż to nie wszystko jedno, jakby ktoś pytał: na co tobie brat lub siostra? Ruś i Polska potrzebni sobie wzajemnie. Bez Rusi zjedzą nas Niemcy, bez nas zjedzą Ruś potomkowie tych kniazików, którzy się pośród jej pól i grodów rozparli... Razem nam tylko być trzeba! Potrzebuję więc Rusi, potrzebuję serc ludu, jego siły, abym wspólnie mógł stworzyć jedną wielką siłę, którąby się oprzeć zdołała niemieckiej przemocy, rozpościerającej jak polip swe ramiona, w które nas prędeż lub później pochwyti... A oni potępiają mnie, że tu siedzę...

Ręką zakrył pół czoła i pół twarzy, a myśli znowu krążyły mu przed oczyma.

— Tu siedzę: więc do kraju wołają, wołają jak próżniaka do roboty; w kraju siedzę: skarżą się, że ręka moja ich ciśnie! Tak, ręka ta pragnęłaby zgnieść was, zniszczyć, boście wy jak drzewa spróchniały za młodu, w którym pod korą zagnieźdzą się korniki... Prawda, że ręka moja ciśnie, ale ta ręka buduje potężne państwo i sprzęga rozmaite żywioły. Jak młynarz na rozlucanej wodzie pierwej tamę stawia, ażeby mógł młyn zbudować, tak ja stawiam tamę waszej bucie i swawoli, a wam się zdaje, że was cisnę... Prawda, cisnę—ale tak jak murarz, budując dom naciska kamień do kamienia, ażeby budowla trwała była...

Już kilka dni minęło od chwili wyjazdu posła, już się w obozie dowiedziano o wszystkim, a jeszcze niewiadomo było, co król uczyni. Zbliżała się jednak chwila stanowcza. Izasław lada dzień spodziewał się napadu na Kijów, bo wiadzano, że obóz Bolesława jest w pogotowiu.

Tymczasem król siedział i całymi dniami naradzał się z otaczającą go starszą wojuszką. Na Krasnym Dworze tak wszystko było przygotowane do podróży, jakgdyby jutro wyruszyć miano. Luda nie umiała sobie zdać sprawy z tego wszystkiego, co się działo koło niej. Zdawało się jej niekiedy, że do utarczki z Izasławem dojść musi, ale milczała, bo mówić o tem nie było rzeczą niewieścią. Króla widywała coraz rzadziej; przychodził do niej na krótkie chwile i albo do obozu odjeżdżał, albo szedł na radę. Serce nie wróżyło jej nic dobrego. Siedząc w samotnej górniczy, właśnie myślała o tem, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Bolesław.

Zmierzał już zapadał; szaro było w komnacie; ale Luda dostrzegła smutne oblicze króla.

— Co ci jest, panie mój, żeś taki smutny?

Bolesław nachylił jej głowę ku sobie i pocałował. Luda długo trzymała pochyloną głowę na piersi królewskiej, a kiedy po chwili podniosła na niego oczy, tyle w nich było smutku, żalu, miłości że serce króla uderzyło współczuciem.

— Żal mi ciebie, dziecko...

Luda szeroko otworzyła oczy. Coś przeczuwała. zgadywała może.

— Jedziesz?

— Jadę...

— Kochać mnie przestałeś?

Bolesław spojrzał w jej oczy błyszczące.

Luda patrzyła na króla i jakby myślała o czemś.

— Jedź...—rzekła mu. I głowę na piersi królewskie znowu pochyliła; ale długo podnieść jej nie mogła, sił nie miała. Po nerwowem ciału drżenia, po ruchu głowy widać było, że Luda płakała. Zegnała łzami nadzieje swoje i krótkie chwile szczęścia. Wiedziała, czuła, że król odjechać musi, wiedziała, że go pożegna nazawsze może, a jednak żalu do niego nie miała.

Król podniósł jej głowę.

— Zostań tu, moje dziecko — mówił z pewnem wzruszeniem — może ja wrócę... pośród was dobrze mi było...

Luda podziękowała mu za nadzieję spojrzeniem i, schyliwszy się, rękę królewską pocałowała.

— Wrócisz? Kiedy?

— Jeśli żyć będę — odrzekł zamyślony. W domu mam więcej nieprzyjaciół niż na Rusi może ich pokonam, a wtenczas wrócę z pewnością... a może oni mnie pokonają.

Kiedy o szarym zmroku król opuścił górnicę, Luda została sama i myślała o jutrze swoim.

— Taka znać boża wola — rzekła do Dobromiry — abym została sierotą... Niech idzie, gdzie chce, przecież dlatego, że go tu nie będzie, nie przestanę go kochać...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## LIST Z WŁOCH.

Rzym 19 Października 1868 r.

(Dokończenie).

Na wspaniałem tle uroczystej wizyty, złożonej Papieżowi przez Wilhelma II, dziwnie brutalnie i surowo odbija szorstkie jej przerwanie przez Herberta Bismarka z racji, że przeciągnęła się o minut parę nad program, a przybyły na audyencyę brat cesarki, książę Henryk, „nie mógł czekać w przedpokojach niczyjem.“ Książę ten jest przecie bardzo młody, gospodarz zaś do którego w gościnę przybywał, to starzec sędziwy z tytara S-go Piotra na głowie, gdyby więc było to nawet prawdą, co rozpuszczono po Rzymie, że potrzebawano tak postąpić dla wybawienia cesarza Wilhelma z drażliwego położenia rozmowy przedłużonej i schodzącej na tory, których monarcha Niemiec chciał uniknąć, niemniej rzecz przedstawia się rażąco i grubiańsko. Książę Henryk, któremu Bismark samowolnie otworzył drzwi, wiedące do Papieża, musi przecie posiadać coś, po ojcu odziedziczonej delikatności uczuć, bo przy powitaniu, w taki sposób otrzymanem, pochylał się do ręki Ojca Świętego i choć nie katolik, pocałował ją, a Leon XIII miał wtedy przytulić sobie do piersi głowę młodzieńca. Mogło to być—mógł uczuć się wzruszony tym łodem starzec, którego nieuszlanowano należycie dlatego, że bezsilny, że z dawnej potęgi strącony i całe to niepraktykowane zajęcia osnuwa dziwną melancholią obraz owej wizyty watykańskiej.

Że zaś Wilhelm II musiał być syt honorów, których mu w Rzymie nie szczędzono, przypuścić trzeba. Tablica pamiątkowa wmurowana 14 Października na Kapitolu i mająca opiewać potomnem, że imperator Germanów był tu gościem, wiodącym za sobą orszak 3.000 ludzi i dla którego przyjemności grano tu i śpiewano—tablica ta mogłaby chyba zadowolnić do pełni jego monarszą dumę, gdyby nawet miał już za sobą długi szereg czynów i prac, mających pozostać na zawsze w historii. Że zaś dla rozkoszy jego oczu oświecono słońcem elektrycznym szczyt Kapitolowski, już chyba wspanialszego widoku nie zażyje nigdy.

Ale, jak dla zbawienia duszyczek, które nigdy „nie zasnęły goręcy wśród świata“, trzeba choć trzech ziarenek pieprzu, tak lud rzymski mieszał troszkę podobnie ostrego materiału do tych festynów kordyalnych. Neapolitańczycy więcej bezpośrednio, niż Rzymianie przypominali wśród uroczystości gościnnych, że noszą jeszcze w sercu uczucie wdzięczności dla Francji, że wiążą ich z nią węzły braterstwa i zaciągniętego długu, bo telegram urzędowy wysłany do Rzymu z Neapolu, po przybyciu tam monarchów, donosił, że „Wjazd odbył się spokojnie—wiele osób aresztowano.“

Kiedy Wilhelm II kładł w Panteonie wieniec na grobowcu Wiktora Emanuela, przypominał Rzymianom sam, że bohater zpod Magenta zawarł tam na wiekiistość historyczną przemyśle serc włoskich z francuzkami. Polityka Crispiego może wyciągać ręce po Niceę i Sabaudyę, ale serca narodu włoskiego biją szlachetniej, bo uczucie uczciwości i sprawiedliwości rzadko kiedy zatracają się w człowieku zbiorowym. Może to nastąpić i dzieje wykazują, że nastąpiło nieraz, ale pod wpływem zadrażnień wzajemnych, namiętności gorączkowo poruszonych, nigdy zaś pod prostem pragnieniem korzyści i łupów, chyba, że już zatracano tam wszelkie uczucia moralności. Włochy przecie nie są w tym wypadku i być nie mogą. Wielkie uczucia, wielkie tęsknoty i boleści niedawno jeszcze pierś im podnosiły, a to edukacja jest, która kilku pokoleniom każe żyć górnio i wspaniale.

Na zakończenie obrazu tych uroczystości wło-

sko niemieckich, dodać mi należy, że do Rzymu zjechało się na te uroczystości i parady 150 tysięcy osób—Włochów i cudzoziemców. Magnesem i można się nie dziwić, że potężnym—była tu nie sztuka, którą grano, ale scena, na której przedstawiana była.

To wszystko przecie, o czem rozpisałem się szeroko ze względu na wpływ, mogący się ztąd wywrzeć na współczesne dzieje Włoch, wręcz dla nas ma znaczenie o wiele mniejsze od smutnego wypadku śmierci Cezara Correnti, historyografa i patrioty włoskiego, a nam tak przychylnego, tak zajmującego się dziejami i piśmiennictwem naszym, jak mało kto, a może nawet nikt z obcych. Ale poza tem, co nas chwytają tu może za serce i tylko już przed bezstronnym sądem umysłu, Correnti występuje zawsze jako jedna z najpiękniejszych postaci nowożytnego Włoch odrodzenia. Urodzony w Medyolanie d. 3 Stycznia 1815 r., ze starego, ale podupadłego rodu szlacheckiego, przyniósł ze sobą na świat wielkie przymioty umysłu i serca, uczucie bardzo gorące i polot myśli wysoki. Młodość jego upływała wśród smutnych dla Włoch czasów i młodzieńiec, który wyniósł już z domu wielkie i głębokie przywiązanie do ziemi swej rodzinnej, uczucie to jeszcze podniósł sobie i rozszerzył podczas studiów prawniczych na uniwersytecie w Padwie. Nauka prawa daje umysłowi podstawę dobrą, a pojęciu sprawiedliwości i prawości opartą i takim też stał się grunt jego myślenia—moralny grunt jego uczuć. Wśród współtowarzyszy spotkał również wielu szlachetnych i później w rozwoju narodowego życia Włoch zasłużonych ludzi. Serca przy sercach rozgrzewały się, gorące uczucie wznosiło piersi i zawiązano stowarzyszenie *La Giovane Italia*, którego celem była walka z Austrią—walka, która przecie musiała być skrytą i cichą, co nie dawało ujścia szlachetnemu zapalowi młodzieńca. Aby je sobie otworzyć, jął się też drogi innej, chwycił za pióro i jeszcze jako uczeń uniwersytetu zaczął wydawać wespół z kolegami pismo peryodyczne: „Il Presagio“ (Wróżba), a gorące serca młode wylewały tu kipiące im w piersiach uczucie miłości Włoch, łącząc je i zespalaając w jedno ze wszystkimi szlachetnymi aspiracjami i porywami ducha ludzkiego. Jak talent Correnti'ego górował już wtedy i mądrzał, dowodzi fakt, że napisaną przez niego przedmowę do dzieła poety Giusti, wydanego po za cenzurą austriacką, publiczność włoska przypisywała Maziniemu, który był wtedy najznakomitszym, jako talent, pisarzem włoskim.

Pisał też młody student niemało—pisał i wydawał: broszury, poezye, kalendarze, artykuły do rozmaitych czasopism włoskich, a zawsze z jednym i tym samym—najwyższym w jego życiu celem i bogdaj czy nie jedynym. Szczęście osobiste, karyera, prawa młodego serca—nie istniały dlań zgoła.—Italia! Italia! to była jego miłość, jego oblubienica i kochanka najdroższa, której się oddał cały, dla niej żyjąc, dla niej chcąc ginąć. Gdy za wybuchem w Wiedniu nadeszły dla Medyolanu sławne *Cinque Giornate*: pięć dni walki z Austrią, Correnti stanął najpierw do boju z bronią w rękę, potem został mianowany komisarzem obrony publicznej i służył tej sprawie na wszystkich możliwych polach: po Medyolanie w Wenecyi, potem w Piemencie, lecz choć wszystko i wszędzie zawiodło, on mimo to rąk załamanych nie opuścił.

Tylko znów wrócił do pióra i znów zaczął wydawać swój sławny, na całe Włochy rozchodzący się kalendarz: „Il Nipote di Vista Verde“ (Wnuk zielonej sukni). Tytuł ten dziwny pochodził ztąd, że Correnti wskrzeszał przez to wydawnictwo swoje stare, dawno już niewychodzący, niegdyś bardzo rozpowszechniony kalendarz w zielonej okładce. Trwało to tak lata całe, bo wraz z drugim czasopismem: *Bolletini dell' Emigrazione*, gdzie sprawował niejako sądy nad społeczeństwem włoskim i trzymał w rękę szalę opinii publicznej, wydawał swego *Wnuka zielonej sukni* do 1857 r. A co tu włożył skarbów swego wielkiego ducha, swych myśli podniosłych, w te czasopisma ulotne, nie żałował tego nigdy i tym, którzy go oskarżali o marnowanie

się, odpowiadał, że składa to w łono włoskiego narodu.

W 1859 r. nastąpił nakoniec powrót szlachetnego męża w jego strony rodzinne. Osiadł w Medyolanie, a teraz już mógł i chciał pracować dla Włoch na szerszej i odpowiedniejszej dlań arenie. W 1867 r. został ministrem oświecenia, a wezwany przez Wiktora Emanuela, z którym go wiązało żywe uczucie przyjaźni i jednako gorąca miłość Włoch, wziął wespół z Depretisem udział czynny w polityce rządzącej krajem. Wiktor Emanuel umierając stanął go niejako doradcą swego następcy, chciał jakoby przekazać synowi legatem, co od przyjaciela dostawał i w ostatnich swych chwilach prosił: „Bądź dla Humberta tym, czem byłeś dla mnie.“ I stało się zadość życzeniem odchodzącego w zaświat króla-bohatera. Correnti został głównym doradcą młodego monarchy, który umiał go cenić równo, jak ojciec, ale u steru rządu nie chciał już teraz stawać, przyjął tylko spokojniejszy, mniej wyczerpujący urząd dożywotni wielkiego mistrza orderów państwa, obok czego przecie wypadało mu koniecznie być prezesem *Instytutu Historycznego, Towarzystwa Geograficznego*, stać na czele nadzoru zakładów dobroczynnych „della opere pie“ i wielu innych instytucji, być członkiem *Accademii dei Lincei*, senatorem państwa włoskiego, posłem do parlamentu, a przytem oblegał go zewsząd mnóstwo spraw, które miłość narodu i wiara w jego niepokalany charakter zwierzyły mu pragnęła. Zajętym też był tak, że brakowało już czasu na umiłowane przezeń prace historyczne, których jednak wyrzec się nie chciał, aby jednak mógł się im oddawać, musiał odkładać na to chwile, spoczynkowi należne. Wstawał co dzień o czwartej, najpóźniej o piątej godzinie i ztąd wieczorem zamykać się chciały wcześniej oczy strudzone, a tu znowu stosunki towarzyskie, liczne grono przyjaciół szukało go, pragnęło przepędzić z nim chwilę jakąś. I zdarzało się też, że często zdrzemnął się wieczorem, i goście zastawali go drzemającym.

A ta praca poranna, dla której wyrwał się spoczynkowi już należnemu po tylu trudach, przejściach, mokołach życia—ta praca to dzieje nasze, nad którymi pracował od lat dwudziestu, Dzieje te, studyowane od tak dawna znał wskrós, czasem sądził je bardzo surowo, czasem zapalał się do nich gorąco, widział w nich ślad kształcenia się umysłów naszych na łacinie, ślad starych stosunków z Włochami, wpływ prawodawstwa z podkładem starorzyskim. Tak pisana historia nie mogła się obyć bez połączenia z nią historyi piśmiennictwa naszego i badał je też, ale choć język nasz znał, popolsku umiał, nie było to jednak w stopniu takim, aby doskonale wszystko rozumiał i w utworach literackich mógł pochwycić to odbicie ducha, o które mu właśnie chodziło. Służyła mu też z pomocą, obok Władysława Kulczyckiego, szlachetna, rozumnażiomka nasza, Malwina Ogonowska, której życie i zasługi czytelnicy pisma waszego znają, niedawno im podane, więc powtarzać się już nie będą. Tłómaczyła wespół z Kulczyckim na język włoski stopy całe, które Correnti czytał, komentował i obok dziejów politycznych spisywał razem dzieje myśli i pojęć, dzieje uczucia naszego, to też ta jego *Historia Polska* z historyą literatury naszej zespolona, jest to rzeczywistość historyozofia dziejów naszych—ich filozofia.

Obejmuje ona tomów cztery: dwa, wcześniej opracowane, trzeci, który mieści w sobie wiele notat Kraszewskiego i wreszcie ostatni, którego dział bibliograficzny ma dopełnić w brakach pewnych pani Ogonowska. Spodziewać się trzeba, że śmierć autora nie wstrzyma, choć może opóźni nieco wydanie dzieła, które wyjdzie w Paryżu z ilustracyami Andreolego, w języku włoskim i francuzkim. Correnti już zawarł pewną umowę z wydawcą paryzkim, lecz potrzebnem było do jej zupełności tego jeszcze, aby tom czwarty skończonym został. Już jest on teraz do druku przygotowanym, lecz szybko postępująca choroba autora rzeczy dokonać nie pozwoliła. Lecz mówią tu, w kołach dobrze poinformowanych ze wydaniem, tak tej ostatniej pracy nie-

boszczyka, jak i innej pozostałości jego literackich, zajmuje się hr. Tulliusz Massarini, senator, który sam jest też pisarzem, znanym światu literackiemu ze studiów o sztuce i piśmiennictwie, kreślonych po włosku i francuzku. Massarini zwykle po pół roku przebywa we Francji, a raczej przybywa do Włoch, tylko na czas prac parlamentarnych, zatem wydaniem pośmiertnej spuścizny po zgasłym przyjacielu będzie mógł zająć się w Paryżu.

Zgon Correntiego stał się dla Włoch żałobą narodową, a publiczne uznanie jego pamięci jest tak wielkie, że jednoczy wszystkie partie, wszystkie obozy. Jeżeli stanie silne przy nieprzeżytych nigdy ideałach ludzkości, należy do zachowawczości, był on zachowcą tego rodzaju. Pewne partie, które zwiążą się postępowymi, pragną zawrócić koryto pojęć i wierzeń włoskiego narodu, aż do źródła—do starorzyskiego początku, przeciw Correnti mimo najgorętszego uczucia rzeczy swoich i wielkiego zamilowania starożytności, wyznawał głośno, że patriotyzm włoski powinien być: „uczuciem nowożytnym, urodzonym i wyrosłym na łonie chrześcijaństwa, wykarmionem u jego zbawienych źródeł.“ Był on przytem silnym stronnikiem zgody państwa z Kościołem, popierał ją nawet i były chwile, że zdawało się być ona rzeczą możliwą, lecz na nieszczęście nie miał odpowiednich na tej drodze pomocników. Gdy się też rozchwiał przed dwoma laty prowadzone w tym celu układy, odczuł to bardzo żywo i otwarcie winę tego zwał na kierowników ówczesnej polityki włoskiej, ze stron obydwóch—na Depretisa głównie i mimo dawnych, w czasie prac nad ugruntowaniem państwa włoskiego łączących ich ze sobą stosunków, zarzucał mu to, jako grzech przeciw wielkości i przyszłości Włoch popełniony: „Depretis jest małym, jak czasy nasze!“ zawołał też w smutnym uniesieniu.

Że jest wierzącym, że jest katolikiem i stronnikiem katolicyzmu, wyznawał głośno i właśnie w owej chwili zerwania układów z Papieżem, mówił: — „Wierzę... pragnąłem zawsze ideału, a od ideału do wiary—blisko jest bardzo: Tak... wyznaję, że uspokojenie sumień byłoby oświadczeniem dla mnie szczęściem! Naród włoski stałby się wtedy potężniejszym, lepszym, szczęśliwszym, ale oczy moje oglądać nie będą tego wielkiego zdarzenia... A szkoda, bo cóż to za sen! widzieć dwa krzyże: krzyż kościoła i krzyż sabaudzki splatające się ze sobą w uścisku.“

Śmierć jego była też śmiercią chrześcijańską. Umierał na ciężką i oddawna srogo dręczącą chorobę raka w wątrobie, w posiadłości swojej Meinie, położonej w Lombardji. D. 1-go Października wezwał miejscowego plebana i spowiadał się, w trzy dni potem rano wziął namaszczenie ostatnie olei świętych. W kilka godzin potem przybył do łóża jego z Rzymu Crispi, a on przytomny jeszcze polecał jego opiece żonę i córkę jędnaczkę, o której los mógł się niepokoić, bo ten przyjaciel króla, ten wielki pisarz, ten czczony przez naród cały i tyle wielkich urzędów sprawujący człowiek, posiadał mienie bardzo skromne i umierał prawie ubogim. Pisma włoskie podnoszą to ze czcią, że wszyscy ci patryoci włoscy, które odbudowali byt narodowy, żyli i umierali ubogimi, jak Depretis, Farini, Garibaldi. Pisma włoskie, dotykając tej kwestji, dowodzą, że na urzędach, które sprawował mógłby był bez nikczemności zebrać miliony. On przeciwko kochał nie tylko ziemię włoską, ale i ludzi żyjących na niej i oddawał wszystko; żona musiała zabiegać całkowicie o byt materialny, tak jego samego, jak i domu.

Kochał ją też miłością wielką, wierną zawsze. Nazywał ją żartobliwie swoim podskarbisem, ale zarazem i „łask szafarzem“ bo tak nie o pieniądzech nie wiedział, że ona co rano sypała mu coś pieniędzy do woreczka, który zawsze był pusty wieczorem. Umierał też mając ją obok siebie wraz z córką Adelaidą. Była tu także p. Ogonowska, był Crispi, który przybył do niego na wieść zbliżającego się już zgonu. Że zrobiło mu się lepiej, czuł się zadowolonym z tego, bardzo pogodnym i łagodnym, dobrym, jak zawsze dla wszystkich. Umierał, słabnąc zwolna. Ostatnie-

mi słowy było: „Vade in alto!“ to jest: „Uchodźże zżył!“

Ciało przewieziono do Medyolanu, gdzie pogrzeb odbył się kosztem państwa. Na trumnie złożył wieniec srebrny Dinheim Brochocki.

Nowiną chwili jest tu wiadomość, że Crispi w swojej bezwzględności stronnicej, odmówił misyom włoskim na Wschodzie otrzymywanych dotąd zasiłków rządowych. Rząd francuzki przyjął nad nimi jakoby protektorat, bo zasiłków tych udzielił i oświadczył, że przyjmuje wydatki ów na budżet państwa.

## MEDYCYNA I HYGIENA POPULARNA.

### SKÓRA

**Jej budowa i funkcje; choroby, leczenie i zapobieganie; kąpiele publiczne. Kosmetyki.**

Skóra nie jest, jak to większość mniema, jedynie przeznaczoną do pokrycia organizmu, nie jest wyłącznie naturalnym odzieniem: skóra ma prócz tego swe specjalne przeznaczenie, odbywa funkcje podobnie, jak inne organa, jak płuca, nerki i t. d.

Z tych względów skóra podlega pewnym przepisom higienicznym, t. j., pielęgnowaniu, a wręcz choroby właściwemu leczeniu.

Choroby skóry, powstające bardzo często skutkiem niezachowywania przepisów higienicznych, oddziałują na ogólny stan zdrowia organizmu, najczęściej powodują cierpienia wyżej wspomnianych płuc i nerek i odwrotnie często bardzo są wyrażeniem cierpienia innych organów, albo też choroby ogólnej, jak np. wysypkowych: odry, szkarlatyny, ospy, skorbutu i t. p.

Choroby skórne znane były w najdawniejszej Starożytności i skutkiem tego ich literatura sięga bardzo dawnych czasów; już bowiem wabytkach po Izraelitach i Egipcjanach spotykamy się z opisami rozmaitych chorób skórnych.

Co prawda, z opisów tych trudno zrozumieć, jakiego rodzaju były owe cierpienia, a głównie na przeszłość staje zmienna ich nomenklatura. W księdze 3-ciej Mojżesza opisane są dokładnie liczne sprawy chorobowe, między którymi odróżnić tylko można z pewnością: oparzenia, owrzodzenia, nowotwory, oraz cierpienia głowy i brody.

Hippokratesa uważać można za twórcę greckiej dermatologii, z której pewne nazwy utrzymały się podziśdzien.

Późniejszy rozwój tej nauki był niezmiernie powolny. Dopiero dzięki genialnym pracom Hebra, lekarza wiedeńskiego, który od roku 1840 ogłaszał liczne swe prace drukiem i nauczał lekarzy, na jego klinice zbierających się z całego świata, powstał nowy zwrot w dermatologii; a do czego również wiele się przyczyniły postępy czynione w anatomii patologicznej przez Rokitanskiego, Virchowa, Webera i innych.

Dziś nauka o chorobach skórnych, przy badaniach mikroskopijnych, stanęła na wysokości innych nauk lekarskich, skutkiem czego wszelkie dawniejsze teorie zepsutych soków i t. p. upadły w zupełności.

Badania anatomiczne wykazały w skórze gruczołki łojowe, potowe, ciała dotykowe, włókna mięśniowe i cały przyrząd naczyń krwionośnych i nerwów.

Następnie zbadano czynność fizjologiczną skóry, jako organu dotyku i przewiewu. Wykazano, że ręka zanurzona w kwasie węglanym chłonie w przeciągu godziny około 6 cali sześciennych tego gazu, a doświadczenia na zwierzętach wykazały, że sama styczność gazów szkodliwych, przy oddychaniu czystym powietrzem, po pewnym czasie, zabija organizm. Wróbel zanurzony w kwas węglany, w ten sposób, iż głowę ma na powietrzu, zdycha po upływie 1½ do 2 godzin, a króliki zanurzone w siarkowodor po 10-ciu minutach.

Doświadczenia te świadczą najwyraźniej o ważności skóry dla całego organizmu.

Skóra chłonie również części płynne, gdyż nama-

zawszy około 1/3 części skóry smołą, w niedługim czasie w wydzielinach innych organów spotykamy czarne zabarwienie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa skóra chłonie również sól kuchenną i jodek potassu. Wcieranie różnych maści, a zwłaszcza rtęciowej, zasada się właśnie na chłonięciu przez skórę.

Robiono również doświadczenia zapomocą powlekania skóry substancjami niedozwalającymi przewiewu i w tym celu pokrywano skórę zwierząt powłoką gummy arabskiej, farby olejnej lub werniksu.

Przy zupełnym pokryciu ciała zwierzęcia materią nieprzenikliwą, długość czasu przez jaką ono żyć może, zależnym jest od wielkości. Jeżeli królikowi powlec 1/6 do 1/3 części skóry werniksem natenczas zwierzę to szybko zamiera przy czem największe zaburzenia powstają w oddychaniu.

Jeżeli tylko niewielką część pokryć werniksem, wówczas część ta zaczerwienia się, a następnie powstają ropnie, zajmujące całą grubość skóry.

Skóra ludzka składa się z naskórka, właściwej tkanki skórnej, tkanki łącznej podskórnej, z nerwów, naczyń krwionośnych, gruczołów potowych, gruczołów łojowych, włosów i paznogi.

Nie będziemy po szczególe opisywali anatomicznej budowy części składowych; przekroczylibyśmy o wiele granice zamierzonej pogawędki higienicznej; powiemy tylko, że naskórek składa się z blaszek rogowych, które często bardzo widzimy złyszczającymi się, a przy silniejszych oparzeniach podnosi się w kształcie pęcherza. Jest to właściwa pokrywa. Nawet dosyć silnie działające środki nie wywierają na nią żadnego wpływu. Skóra pozbawiona naskórka przedstawia się różowo, jest to tak nazwana siatka Malpighiego, pod którą leży skóra właściwa, a w niej gruczoły potowe, łojowe i cebulki włosowe. Najgłębiej położona 3-cia część zawiera w sobie przeważnie tkankę tłuszczową, która u różnych osób bywa różnej grubości, a od której zależy tusza. Każda z tych części, kilka z nich, lub wreszcie wszystkie jednocześnie, mogą podlegać sprawom chorobowym.

Najczęściej choroby skórne pojawiają się w formie: plam, guzików, grudek, guzów, wzniesień, pęcherzyków, pęcherzy i pryszczycy, są to wysypki pierwotne, od których odróżnić należy formy następcze, czyli wtórne, a do których zaliczamy: obnażenia, łuski, strupy, owrzodzenia, pęknięcia, blizny i nagromadzenie barwnika. Same nazwy określają ich postacie tak, że bliższego opisu nie będziemy przytaczać.

Co do przyczyn chorób skórnych, to, podobnie, jak choroby innych organów, mogą one powstawać samodzielnie, lub też skutkiem chorób innych organów. Większa część jednakże powstaje samodzielnie t. j. skutkiem pewnych szkodliwości miejscowych: zbyt częstego użycia wody, wpływu roślinnych lub zwierzęcych pasożytów, nieczystości, nacisku, wpływu ciepła i t. p. Niektóre choroby skóry powstają skutkiem zaburzeń w innych organach, przy wzruszeniach umysłowych, niestrawności (pokrzywka). Pewna grupa chorób skórnych zależną jest od zmian we krwi; tu należy skorbut, rak, ospa i t. p. Niektóre choroby są dziedziczne i przechodzą z rodziców na dzieci. Zolży i chorobę angielską uważają u dzieci za główne przyczyny chorób skórnych i z tego powodu często unikają usuwania ich za pośrednictwem środków miejscowych, utrzymując, że przez skórę wydalają się „niezdrowe soki“. Prócz tego wielu mniema, że przez wyleczanie wysypki skórnej spowodować można cierpienie organów wewnętrznych. Doświadczenie wykazało, że między cierpieniami skóry, a chorobami tego rodzaju, jak zapalenie mózgu, ząbkowanie i t. p., nie zachodzi żaden związek. Podobnie przesadnym jest poczytywanie szczególnie ospy ochronnej za przyczynę chorób skórnych.

Liczba chorób skórnych jest bardzo znaczną. Starano się je ugrupować i celu tego dopiął Hebra, rozdzieliwszy je na 12 klas i tak do 1-ej zalicza przekrwienia, do 2-ej niedokrewność, do 3-ej zbroczenia w gruczołach skórnych, do 4-ej

## Kronika działalności kobiecej.

wysięki, do 5-ej krwotoki, do 6-ej przerosty, do 7-ej zaniki, do 8-ej i 9-ej nowotwory, do 10-ej owrzodzenia, do 11-ej pasorzyty i wreszcie do 12-ej nerwowe cierpienia skóry.

Każda z tych klas zawiera po kilka grup, tak że ogólna liczba opisanych dziś form chorób skórnych dosięga półtorasta.

Przyjrzyjmy się tylko niektórym.

Często bardzo spotykamy na skórze, szczególnie na skrzydłach nosa, policzkach, czole czarne plamki znane pod nazwą *wągrów* (comedo). Cierpienie to dochodzi do skutku w ten sposób, że masy naskórka i łoju nagromadzają się, rozszerzają przewód gruczołu łojowego i torbki włosowej. Owa zatyczka łojuwa poczerniała na wierzchu, za pociśnięciem zwykle wychodzi na zewnątrz w postaci robaka. Składa się ona z ziarenek tłuszczowych, a prócz tego gnieździ się tam bardzo często pasożyt zwany węgrem (*acarus folliculorum*). Spotkać się z nim można również u osób mających zupełnie normalną skórę, przyczem nie wywierają na nią żadnego złego wpływu.

Najczęściej węgry są chorobą czysto miejscową i dlatego leczenie być powinno miejscowem, zasada się ono na wyciskaniu węgów najlepiej przy pomocy kluczyka od zegarka, poczem wyciera się skórę spirytusem, w którym należy rozтворzyć nieco mydła.

Gdy otwór gruczołu łojowego zarośnie natenczas mamy formę zwaną *Proso*. Są to małe białe kulki, przeświecające przez twardy naskórek; siedlisko obierają głównie na powiekach i policzkach. Nie jest to wcale pożądana ozdoba, pozbyć zaś się jej można przez przekucie pęcherzyka i wyciśnięcie zawartości gruczołu łojowego kluczykiem od zegarka.

Wiele osób po spożyciu pewnych potraw, jak ostryg, ślimaków, raków, ryb, poziomek, ogórków, do których cierpią *tkliwość osobliwą* (idiosyncrasia), dostają *Pokrzywki*. Jest to wysypka w postaci wzniesień różnej wielkości, począwszy od ziarenka soczewicy do wielkości rubla srebrnego lub nawet dłoni, trwa raz kilka godzin, kiedy indziej znowu parę dni lub tygodni, przyczem bywa czasami i gorączka.

Przy zaburzeniach w trawieniu podajemy środek wymiotny lub przeczyszczający, miejscowo zaś najzupełniej wystarczają natryski lub okłady z zimnej wody i obmywania octem lub sokiem cytrynowym, które prawie natychmiast znoszą towarzyszące wysypce nieznośne swędzenie skóry.

Oparzenia na skórze rozdzielić można na trojaki rodzaj; zależą one od temperatury ciała i od tego przez jak długi czas temperatura ta wywierała swe działanie.

Pierwszy stopień: jeżeli temperatura wyższą była, niż 30° natenczas mamy na skórze tylko zaczerwienienie; skoro tylko przyczyna ustanie działać, ustępuje czerwonosć bardzo prędko.

Drugi stopień, gdy temperatura jest wyższą, nad 50° i działa przez czas dłuższy, wtedy powstaje wysięk, który podnosi naskórek t. j. mamy pęcherz.

Trzeci stopień ma wówczas miejsce, gdy na skórę działa temperatura czerwonosći żelaza przez czas dłuższy i powstaje skutkiem tego zwięglenie skóry w całej grubości czyli strup.

Przy oparzeniach pierwszego stopnia wystarczają w zupełności okłady z zimnej wody.

(Dokończenie nastąpi)

— *Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych* odznaczyło na wystawie ornamentacyjnej wystawczyń dwie. Otrzymały listy pochwalne: pp. Bronisława Poświkowa za malowanie kwiatów ornamentacyjne i Stetania Oigalle za malowanie na porcelanie (Głowa starca).

— *Dom Towarzystwa Dobroczynności*, budujący się przy ulicy Starej, z przeznaczeniem na szwalnię, dla ubogich dziewcząt, został pokryty dachem. Z przyszłą wiosną już częściowo może być oddany na przeznaczony użytek.

— *Kasa pomocy dla nauczycielek* nie mogąc się pomieścić przy zakładzie *Stowarzyszenia Nauczycielek*, z powodu że ustawa tej instytucji nie mieści w sobie pozwolenia na to, będzie mieć byt osobny. Projekt ustawy opracowanym został przez jednego z prawników naszych dla przedstawienia go władzom do zatwierdzenia.

— Kobiety jęły się w mieście naszym szklarstwa, co zdaje się być rzemiosłem nie przechodzącym sił kobiecych. Oprócz wprawiania szyb, szklarki pragną zapewnić sobie głównie lekką i tylko staranności pewnej wymagającą robotę, kitowania szyb i opatrywania okien na zimę. W domach rodzinnych ostatnią tę robotę spełniają oddawna pokojówki.

— Wywozowy handel produktów gospodarstwa kobiecego na wsi, wzmaga się coraz. Zauważono ten fakt na komorze celnej Słupce, przez którą same wysyłki gęsi do Strzałkowa w Księstwie Poznańskim) liczą się na setki tysięcy. W jesieni przechodzi tamtędy więcej niż 100.000 sztuk. Wywóz jaj przez tę komorę liczy się rocznie na półtora miliona sztuk. Masła przechodzi w porach pewnych od 500 do 600 centnarów dziennie. Przez Warszawę przechodził niedawno (w Październiku) transport jaj z gubernii Wołyńskiej, asekurowany na 14.000 marek. Jaja szły do Frankfurtu nad Menem. Znaczne są również transporta wędlin. P. Kazimierz Jesionowski, właściciel dóbr Kosielwie w okolicach wołyńskich, wyprawił do Londynu wędliny, zabezpieczonej na 1.300 rs. Transport ten przechodził przez Warszawę d. 10 Października.

— Pani Giełgudowa zapewnia, że ostatnia przesyłka koronek wykonanych w Makowie (Galicya), zyskała sobie w Anglii uznanie pań tamtejszych. Projektowany jest zjazd kobiet należących do *Towarzystwa pań ochrony przemysłu krajowego*, celem zorganizowania na skalę szerszą zbytu robót kobiecych do Anglii.

— Róża złota została w tym roku przyznana przez Papieża hr. d'Eu.

— Wielka i trudna do zastąpienia użyteczność *Siostr Miłosierdzia* w pielęgnowaniu chorych po szpitalach zaznaczyła się wybitnie przez usunięcie ich z wielkiego paryzkiego szpitala *Charité*. Dr. Deprès, chirurg przy wspomnianym szpitalu, oraz członek paryzkiej Rady Muncypalnej, zamieścił w dzienniku „Gazette des Hopitaux“ list następującej treści: „Zamiana w pielęgnowaniu chorych *Siostr Miłosierdzia* na osoby świeckie, dokonana d. 21 Stycznia roku bieżącego dała sposobność, niejednokrotnego stwierdzenia wyników ztąd niedogodności, które zresztą były przewidywane.“ Pomijając błędy, brak punktualności i porządku, częste wydalanie się z sal, tych nowych pilnowaczek świeckich, Dr. Deprès zauważył, podobnie, jak i jego koledzy, że pilnowaczki świeckie nie mają w sobie tego du-

cha poświęcenia, tej cierpliwości i przejęcia się ważnością zadania swego, jakie okazywane bywają stale przez *Siostry*. Potrzeba ich bywa w szpitalach więcej, niż niegdyś *Siostr*, które pracowały cicho i spokojnie bez odpoczynku prawie, uważając sobie za zasługę to, w czem zastępczynie ich świeckie widzą uciemiężenie i nadmiar pracy. Te, nawet najlepsze, są tylko robotnicami dla zarobku, a tamte działały pod wpływem religijnych uczuć chrześcijańskiego poświęcenia się dla bliźnich, co nigdy równoważyć się ze sobą nie może i Dr. Deprès dodaje ostatecznie, że ludzkość w swoich dziełach miłosierdzia musi się opierać na uczuciach idealnych, podniesionych nad zysk, nad korzyść osobistą, bo inaczej nigdy to miłosierdzie rzeczywiście dokonywanem nie będzie, zwłaszcza jeżeli to jest jakaś praca długa, stała—praca zawodowa, jak to właśnie ma miejsce w szpitalach. „Tam trzeba tej cnoty, która jest owocem uczucia religijnego, jakie chrześcijaństwo wszczepia w serca *Siostr Miłosierdzia*.“—zakończył Dr. Deprès.

— W Bostonie (Amerykańskim), na zgromadzeniu kobiet, zebranych z powodu jakiegoś głosowania, znajdowała się matka Leona Wallace, znanego i w Europie pisarza, autora rozgłoszonej w Ameryce powieści „Ben Hur“ (obecnie drukującej się w Słowie). Gdy nazwisko poważnej już wiekiem matrony stało się zgromadzonem wiadome, współtowarzyszki otoczyły ją pewnem uszanowaniem wyższem, chwając dzieło jej syna, a zwłaszcza jeden charakter niewieści—charakter matki. Wtedy silnie wzruszona kobieta przyznała im się, że syn miał jakoby się wzorować w kreśleniu go na nią. Ona była też pierwszą osobą, której dał do przeczytania rękopism swój z dodatkiem, że znajdujący się tam charakter matki, jest w rysach swoich odbiciem jej moralnej sylwetki.—Co za szeroka działalność kobiety w kształtowaniu się wyobrażeń dziecka... jaki wpływ przegromny na jego życie.

— Księżna de Galliera założyła miłosierne stowarzyszenie płacenia komornego za uczciwych lecz ubogich ludzi z klas pracujących. Ona sama zapisała się na liście rocznych składek na 100.000 franków. W motywach wzniesienia tej dobroczynnej instytucji, księżna pisze: „Póki rodzina ma ognisko domowe, gdzie mąż po pracy znajduje czekającą go żonę; póki dziecko może tam być pod pieczęcią matki, póty nieszczęście, nawet przy biedzie największej, nie druzgocze tak i nierozrywa węzłów, na których stoi moralność i szczęście ludzi.“

— W Salonie artystycznym *Spółki malarzy i rzeźbiarzy*, zwraca uwagę chorągiew górników z Dąbrowy, przedstawiająca na tle ponsowego adamaszku S-tą Barbarę, haftowaną jedwabiami przez p. Józefę Biedrzyńską.

— Na wystawie rolniczej w Kijowie, przyznano kobietom nagród siedm: wielki medal srebrny otrzymały Janina i Stefania Balińskie za suszone owoce (jabłka, gruszki i śliwki), mały medal srebrny hr. Marya Potocka za owoce, włościanka Łucenkowa za jedwabnictwo, medale brązowe: hr. Branicka za ul, hr. Leduchowska i p. Krasowska za jedwabnictwo.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Katarzyna Regina*, przez Waltera Besant'a.

**TREŚĆ.** Henryka Beecher-Stowe, (Wspomnienie).— Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę.— Ze spuścizny olbrzyma, (dalszy ciąg), przez Miria'a — List z Rzymu, (dokończenie). — Medycyna i higiena popularna, przez Dra J. S. — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Katarzyna Regina*, przez Waltera Besant'a — Przegląd mód. — 22 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu

Warszawa.—Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 19 Октября 1888 года.